Cena numeru 10 zł.

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II 23 luty 1947 Nr. 9 (25)

W ZWIĄZKU Z SZALEJĄCĄ W CAŁEJ POLSCE EPIDEMIĄ GRYPY



Rys. HENRYK TOMASZEWSKI

— Doktór już nie przyjmuje!
— A do której przyjmuje?
— Od 2-ej do 10 tysięcy złotych!

* * *

A więc karnawał mamy już szczęśliwie poza sobą. Ci obywatele, którzy swe nadwyżki kapitalizowali dotąd w perlonach, futrach, perfumach i szmuglowanych jedwabiach, mogą już teraz z całą gorliwością oddać się obowiązkom społecznym. Puszki RTPD, TPMSW, Pomocy Zimowej, Czerwonego Krzyża czekają na gotówkę z równą łapczywością, co i kasy lokali rozrywkowych, sal balowych i melin tanecznych. Cóż z tego, że będą jeszcze czekać na swe raty kuśnierze, modniarki i kosmetycy? Odręczne ślady zabaw, wszelakie wągry, krwiaki, sińce, blizny po zwycięskich walkach o kobietę mogą jeszcze poczekać. Czas jest najlepszym retuszerem.

Mogą także czekać na gotówkę rozlewnie środków oszałamiających. Spiritus przeznaczany dotychczas na cele, niestety tylko moczopędne, może zgodnie ze swym właściwym przeznaczeniem służyć jako siła napędna. Czekają na nią samochody zakładów czyszczenia miasta. Czekają talardy. Zebrzą o nią śmietniki.

Nadszedł wreszcie koniec zużycia węgla na cele taneczne. Opał przeznaczany dotąd na sale balowe, może już być spalony uroczyście w poczekalniach, wagonach trzeciej klasy, przytułkach, sanatoriach, szpitalach. Wprawdzie według PIHMu zbliża się już (zamówiona w Grecji przez członka komisji ONZ Min. Putramenta) nowa fala bałkańskiego ciepła, kto wie jednak czy dostawa nie ugrzęźnie w nowych zaspach.

Koniec więc wszelkiemu karnawałowemu grzaniu. Koniec wszelkiemu naparzaniu. Siła fizyczna już nic nie oznacza. Miłość zrzeszona w tańcu i utwierdzona tłustym czwartkiem, ukończyła już swój mięsopust. Uzyskawszy swe naturalne uspokojenie w urzędach stanu cywilnego dojrzewa do rozwiązania. Czekają na jej owoce ginekologowie i akuszerki, domy podrzutków i żłobki. Już wszelkie akty rywalizujących ze sobą jednostek, wszelkie liberalizujące nadużycia witrioleju, jodyny, esencji octowej, nie będą traktowane jako działania w afekcie. Podpadają pod kodeks karny. Teraz jednostki nie stowarzyszone erotycznie mogą już cały nadmiar swych uczuć kierować do łożysk społecznie wartościowych. A więc: do odmiatania śniegu, ścigania radiopajęczarstwa, wzorowego abonowania „Rózeg", rozpowszechniania kultury, wchodzenia przez tylny pomost do przedniego pomostu tramwajowego a nie odwrotnie dalej, kupowania książek, ich czytanie etc. etc.

Wyliczone ćwiczenia miłosne zyskują nam w oczach społeczeństwa miano wzorowych obywateli, zaś w oczach oblubienicy — rangę przyszłego atutu do rozwodu.

Stosujmy się więc, miłośnicy, do przepisów porządkowych, nie siadajmy w przepełnionych tramwajach na miejscach już zajętych przez osoby w kwiecie wieku, nie stójmy na walizkach, zawierających nabiał, naczynia szklane, nie wymyślajmy pod adresem torebek zawierających wyżymaczki, rogi jelenie, bukiety szynek. Nie plujmy na ścianę! Zgłaszajmy każdy wypadek grypy w urzędach zdrowia! — nie stójmy na butach motorniczego w chwili, kiedy ten dostrzega przed tramwajem furę rozsypującego się pierza! nie kłóćmy się w urzędach! Niech ten okres między karnawałowy będzie dla nas twardą szkołą powinności.

Dopiero, gdy już zdamy egzamin z obowiązków obywatela, będziemy mogli pojąć zagadnienia oblubieńca, narzeczonego, męża, ojca, sprzątacza, niańki, chłopaka na posyłki i wówczas dopiero nauczymy się: przechodzić przez jezdnię, wybierać niedopałki z doniczek, wchodzić przez tylny pomost do przedniej platformy wozu tramwajowego i być tzw. porządnym obywatelem

Zygmunt Fijas

STANISŁAW SOJECKI

TRADYCJA

Wieszcz raz wypił ponczu waze,
Poczem palnął jakiś frazes.

Goście, którzy w knajpie pili,
Frazes chórem podchwycili.

Przeplatając frazes dzbanem,
Wyszli z knajpy gdzieś nad ranem.

Wraz z ostatnim pijanicą
Frazes wypadł na ulicę.

Szedł po kraju i co raz to
Inne nim szumiało miasto.

I już po tygodniach paru
Cały go powtarzał naród.

Aż nakoniec frazes nowy
Wszedł na sztandar narodowy!

Przemijają zwolna dzieje —
Kto mądrzejszy ten się śmieje.

Nawet czasom głupich pogan
Lepszy się udawał slogan.

Wstyd po prostu i głupota,
Choć litery są ze złota.

Gdy swój błąd zobaczył naród,
Chciał go zmazać ze sztandaru.

Na to chór kołtunów wrzaśnie,
Że, jak jest, tak ma być właśnie!

Wara się na ołtarz targać —
Wara tu świętości szargać!!!

Nie dogadasz się z człowiekiem
Który myśli jak przed wiekiem!



Rys. Kajetan Sosnowski

Rzeź-ba grecka

ZNAJOMA DENTYSTKA

Napisał E. KAGANOWSKI

Ilustrowała REGINA KAŃSKA

Mój ząb dawał mi się dotkliwie we znaki. Cieńka, rozpalona igła tkwiła gdzieś tam między mózgiem a oczodołami i sięgała paznokci mych stóp. Nie pomagały gorące ni zimne okłady. Nie byłem w stanie pojąć, jak ludzie mogą przechadzać się po ulicach, zawierać transakcje handlowe, czytać gazety, uczęszczać do teatrów i kochać.

Na szczęście przypomniałem so bie adres znajomej dentystki. Wyleciałem jak kamień z procy. Zadzwoniłem do drzwi, pokojówka otworzyła mi i wymamrotałem spod zawiązanej chusty:

— Pani w domu?

Z sąsiedniego pokoju doleciało mnie paplanie małego dziecka. Drzwi odchyliły się i stanęła w nich dentystka w całej swej okazałości.

Odgiąłem brzeżek chusty i wysiliłem się na możliwie spokojną minę, tak, aby dentystka miała możność mnie rozpoznać.

— Ach, zaledwie poznałam pana. Proszę bliżej...

Wszedłem do pokoju. Zauważyłem stół i krzesła. Na kanapie siedziało kilkuletnie dziecko i bawiło się dentystycznymi instrumentami.

Dentystka uradowała się na serio:

— No, i cóż pan porabia?... Tak długo nie widzieliśmy się...

— Tak — wyszeptałem, zaczerpnąwszy tchu. Mam okrutny ból zęba... Poproszę panią...

— Od dawna?

— Od dwóch dni... Myślałem, że przejdzie...



— Wciąż jeszcze pechowiec z pana — prześladuje pana lada zło. A zęby szanować trzeba. Oczywiście, zaniedbany...

Przytaknąłem kwaśno.

— Ząb, skoro tylko pokaże się dziureczka, należy zaplombować.

Ból palił mnie jadem żmiji. Westchnąłem ciężko i powtórzyłem bezgłośnie:

— Trzeba szanować...

Pokazała mi swoje zdrowe, żółte siekacze i rzekła z dumą:

— Widzi pan moje zęby? Zdrowe? A dlaczego bo szanuję...

Przymknąłem oczy, przed który mi wirowały kręgi ogniste i odezwałem się błagalnie:

— Chciałem poprosić, by pani raczyła... obejrzeć...

— No cóż, obejrzeć można... — rzuciła obcesowo i podniosła się z miejsca.

Zerknąłem z ukosa na dziecko, które właśnie obcążkami opukiwa ło krzesło. Dentystka podchwyciła moje spojrzenie i zawołała:

— Ach, pan nie zna jeszcze mego synka? Adasiu, przedstaw się panu! To twój „wujaszek"...

Dziecko podało mi ciepłą rączkę. Zrobiłem uprzejmy grymas i miałem wrażenie, że ska-lpel świdruje mi potylicę.

— Zdaje się, że pamiętam jeszcze pańskie nazwisko — ciągnęła najspokojniej w świecie dentystka — nazywa się pan...

Patrzyłem na nią nieprzytomnymi oczyma i absolutnie nie mogłem przypomnieć sobie swego nazwiska.

Wtedy podniosła się po raz wtó ry i podeszła do mnie:

— Czy boli? — zagadnęła słodko.

— Bardzo... bardzo mocno...

— Bardzo mocno? To się tylko panu wydaje. Znam to z praktyki... Jest pan bezsprzecznie typem nerwusa. Odróżniamy neurasteników, hypochondryków, lub psycho... Doprawdy zapomniałam, jak się oni wszyscy nazywają. Mam to gdzieś nawet zapisane. Otóż, u takich ludzi każda drobnostka ura sta... Pan, zdaje się, jest także takim hypo... jak to się nazywa...

— Nie wiem — wybełkotałem pokornie.

— Nie wie pan? Może mi pan uwierzyć na słowo: jest właśnie tak, jak mówię. Mam nieomylny wzrok w tych sprawach. Takie wy padki bywają wielce skomplikowa ne. Mój profesor wyjaśnił mi to. Trzeba pilnie baczyć na takich ludzi. Mają oni zwyczaj mdleć przy lada okazji, a czasem może się to skończyć...

Chwyciła palcem wargę moją i rozerwała mi usta. Miałem wrażenie, że tysiąc śpiczastych młotów opuszcza mi się na głowę.

— W ten sposób niczego stwier dzić nie można — zawyrokowała. — Należałoby instrumentem... lam pą...

I siadła z powrotem na krzesło.

— Więc cóż robić? — jęczałem. Lecz w tej chwili dziecko przerwało swą zabawę i wysylabizowało:

— Ma-mu-siu... E-e...

Dentystka skoczyła na równe nogi, chwyciła dziecko i, wykrzykując coś pod adresem pokojówki, wybiegła z pokoju.

Zostałem sam. Podniosłem z zie mi obcążki dentystyczne i gapiłem się na nie oczyma szaleńca. Zdawało mi się, że zapadam w sen. Ból rwący, przenikliwy ukołysał moją głowę — i świat obumierał zwolna.

Minęło sporo czasu. Niby przez sen koszmarny odróżniałem szme ry, słyszałem wyraźnie, jak dentystka dawała ziecenie pokojówce:

— Zrób na obiad kluseczki, nasz pan nie lubi makaronu...

Zaledwie słowa te doleciały mych uszu, nowy przypływ bólu zalał mi mózgownicę. Zerwałem się z krzesła i zacząłem głośno jęczeć.

Momentalnie ukazała się w drzwiach dentystka z dzieckiem na ręku. Dziecko miętosiło w paluszkach ciasteczko. Parę takich ciasteczek leżało na talerzyku, który przyniosła. Spojrzała na mnie z politowaniem i rzekła:

— No, i mężczyzna z pana! Pro szę się poczęstować moim „wyrobem domowym"...

Podsunęła mi ciasteczka:



— Jak pan widzi, jestem już gospodynią. A co poza tym słychać u pana? Czy spotyka pan czasem naszych starych znajomych?

Patrzyłem na nią osłupiały, oblizując spieczone wargi.

— Czy pamięta pan dawne czasy? Pst... ile lat upłynęło od dnia mego ślubu? Doprawdy, pięć... Jak ten czas leci! Czy pamięta pan stu denta Wysokogórę? Interesujący typek. Rozkochał się we mnie do szaleństwa, miał nawet zamiar odebrać sobie życie. Cha-cha-cha, opowiadają, że zeszedł na psy...

Skrzywiłem twarz na podobieństwo małpy.

— Czy pamięta pan, jak wyglą dałam na letnisku? Mam tu fotografię... Z rozpuszczonymi włosami. Jak cyganka. Jeden artysta-malarz nadskakiwał mi, chciał mnie koniecznie portretować...

Z trudem podniosłem się z krzesła. Trzymając się oparcia, wykrztusiłem:

— Przyszedłem... Proszę panią... Zrób pani coś, na miłość Boską, bo oszaleję...

— Nie oszaleje pan... A to mi bohater! Jedna chwilka. Tylko ręce umyję...

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczył stateczny mężczyzna z pucułowatą twarzą. Podszedł do dziecka i ucałował je.

Dentystka ujęła go za rękę, pod wiodła do mnie i zawołała radośnie:

— Oto mój mąż... A oto znajomy mój z letniska, jeden z moich byłych adoratorów. Może ci zaświadczyć, jaki miałam wtedy wygląd i powodzenie. Wszyscy mężczyźni prześladowali mnie swą miłością... Prawda?

— Prawda... — potwierdziłem płaczliwym głosem. — Ale może wyrwie go pani, lub zatruje...

— A studenta Wysokogórę, o którym ci opowiadałam, znał ten pan osobiście...

Mąż spojrzał na mnie uważnie i zagadnął znienacka:

— Co się z panem dzieje?

— Ząb... ząb boli niemiłosiernie...

— Więc leć pan do dentysty! Czego pan zwleka?

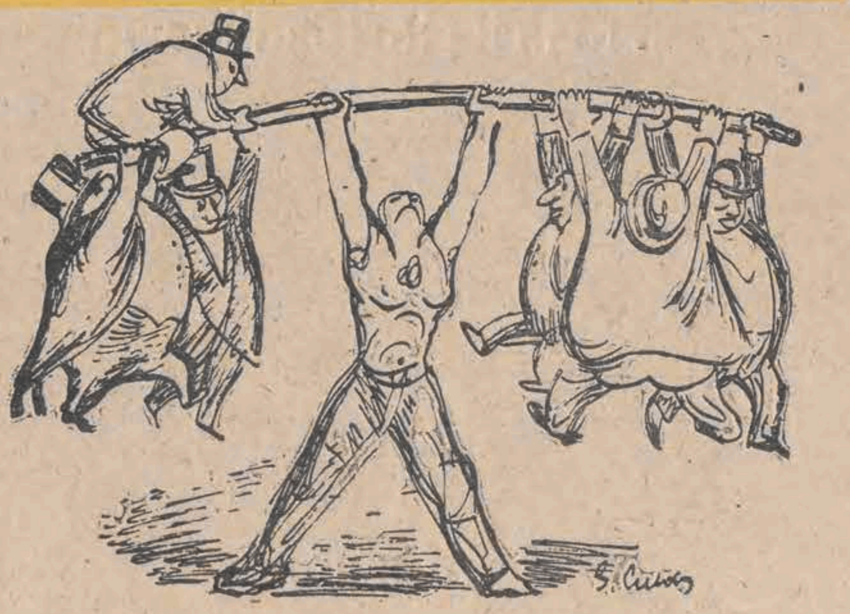
Wtedy dentystka oświadczyła zrównoważonym głosem:

— Szkoda, że sprzedałam gabinet...

Ogarnął mnie dziki gniew, przerastający paroksyzmy bólu. Jak tygrys rzuciłem się ku drzwiom. Zdołałem jeszcze wykrzyknąć:

— Idiotka... Wysokogóra... Artysta-malarz... Ból zęba... Ból zęba oby cię nawiedził...

I wybiegłem z pokoju



Rys. Stanisław Cielach

SIŁACZ



Rys. Kazimierz Grus

Z puścizny TEODORA BUJNICKIEGO

PRZEKŁADY

Z KOŹMY PRUTKOWA

Naśladowanie Heinego

Nad morzem na brzegu wysokim
Widziałem ogródek warzywny,
szparagi tam kwitły wysmukłe,
kapusta w kolorze przedziwnym.

Co ranek do tego ogródka
przychodził ponury ogrodnik.
Miał w ręku konewkę i grabie,
a szelki przypięte do spodni.

Szparagi pozbierał do kosza,
kapustę pokropił niedbale,
a potem ciężkimi krokami
na brzeg się skierował ku skale.

Aż raz, zaprzężona w trzy siwki
przed ogród zajeżdża karetą:
Wytworny młodzieniec wysiada,
rżą konie, drży serce stangreta.

— Gdzie córka jest twa, ogrodniku? —
zapyta nieznany podróżnik.
I nic nie odparł ogrodnik
ponuro utkwiwszy wzrok w próżnię

Zatrzasły się drźwiczki karety,
panicza w dal powóz unosi..
Samotny ogrodnik pozostał
i palcem majstruje coś w nosie.

Z PUSZKINA

Na księcia Szalikowa

Nasz książe, ten dziennikarz żałośliwy,
Elegią poił słuch rodziny,
Przed nim kozaczek kawał świeczki krzywej
Trzymał i drżał, jak liść osiny,

Wtem chłopię zapłakało, zaszlochało,,
„Tu macie przykład, głupie córy"
Zawoła książe, dumą płonąc cały,
„Niech powie miły syn natury

„Jakie wzruszenia wiersz mój niesie?,,"
Ten na to: „Bardzo na dwór chce się".

Na Karamzina
(autora znanych dziejów Rosji)

Kronika jego wykwintna i odczuta,
Dowodzi nam bez fanatyzmu
O konieczności despotyzmu
I o uroku knuta:

Z AGNIWCEWA

Słoń i mucha

Raz pewien słoń obwisłouchy
oczarowany wdziękiem muchy
jej powiewnością i lekkością
zapałał do niej namiętnością.

Lecz mucha, mając bystre oczy
uznała, że choć tak uroczy
słoń, może być za duży dla niej,
więc się ukryła przed nim w sianie.

Kiedy już zgasła w nim nadzieja
słoń zakochany nie pił, nie jadł,
chudł w oczach, słowo daję wam
(„Dans chaque malheur cherchez la femme").

I jak francuski markiz jaki
poszedł umierać w gęste krzaki
szepcąc: — nie dla mnie już te słowa...
tak mała mucha zjadła słonia.

Stąd morał taki słoń niech bierze:
kochać się w muchach nie należy
Jeśli namiętność chce nasycić,
przecież do tego ma słonice.

Z PUSZKINA

*
* *

Muzo satyry pałającej
Na me wołanie przybądź zdala.
Nie trzeba mi strun liry grzmiącej,
Daj mi biczyska Juwenala,
Nie na imitatorów chłodnych,
Nie na tłumaczów wiecznie głodnych,
Nie na poetów miłych dam
Śmiertelny jad pocisków mam,
Pokój wam, wierszokleci tkliwi,
Pokój wam, głupcy nieszczęśliwi,
Lecz wy, hultaje, łotry, zbiry,
Naprzód! Tu całe wasze draństwo
Podetnę rózgą mej satyry,
A jeśli kogoś opuściłem,
Proszę wybaczyć, moi państwo,
O, też płaskich czół miedzianych,
Twarzy bezwstydnych i nalanych
Czeka, by z moich przyjąć rąk
Piętno na wiecznych czasów ciąg.



Rys. Kazimierz Grus

Napisał ZYGMUNT FIJAS

Ilustrował HENRYK TOMASZEWSKI

Przypowieść o Bogaczu i Łazarzu

Bogacz mieszkał w pięknym sze ściopokojowym mieszkaniu z fortepianem, windą i widokiem na ogród. Łazarz mieszkał w lepiance i nie miał widoków nawet na jeden pokój w śródmieściu. Bogacz był zawiadowcą intratnego przedsiębiorstwa, miał poczwórne premie, wysoki procent od obrotu, sypiał na wielu łóżkach i do swej służą-



cej zawsze odzywał się przez ramię. Łazarz sypiał na barłogu, żo na jego nie okrywała swego ciała pelisą, nie wiedziała, co to są perlony, oboje nie mogli liczyć nawet na obroty z windy Bogacza.

Bogacz za czasów niemieckich „sabotował" Rzeszę wagonowo, zażywał zaszczytów kollaboracji, Łazarz stracił nogę i podpierał się nią cierpliwie aż do czasów odzyskania ziem nad Odrą i Nysą.

Bogacz wciąż liczył na powrót zaszczytów, jakie dają sygnety, gotówka i futra podbite śmierdzielami, Łazarz nie liczył nawet na nowy przydział medali: cieszył się z tego, czym chata bogata, nawet wtedy, gdy nie jest rada.

Mimo to obaj nie zazdrościli so bie. Bogacz, patrząc na jednonogiego Łazarza sprzedającego pod murem własne spodnie, mówił:

— No, nie zamieniłbym się z nim nawet, gdybym nie miał obu nóg!

Łazarz zaś patrząc na poniemiec ki pałacyk Bogacza myślał:

— Tak chyba będzie wyglądać raj, ale nie zamieniłbym się z tym głupcem nawet za pierwsze krzesła na premierach. Jest tu pięknie, są podobno spaniele po dziesięć tysięcy sztuka, jest stara porcelana z odległego Zachodu, będą tu pewnie jeszcze niejedne śpiewaczki i tancerki kabaretowe, ale nie ma tu wcale zadowolenia, które daje tylko ciągła świadoma swego celu praca. Nie, nie zamieniłbym się z tym nicponiem nawet na łyżkę krup!

Innego zdania była żona Łazarza. Patrząc na przyjaciółki Boga cza wystrojone jak te lale, mówiła ze złością.

— Wiem, że wszystko musi dziać się według Biblii, to znaczy Bogacz musi siedzieć przy stole, a Łazarz musi leżeć pod stołem — ale powiedzcie mi dlaczego żona Łazarza świeci gołymi łydkami, a byle śmieć okrywa się futrami jak przedwojenne ścierwo.

To powiedziawszy niewiasta Łazarza poszła do Bogacza i rzekła:

— Wiem, że twoja chata jest bogata i wiem, niestety, że nie jest rada. Nie masz bowiem powodzenia u niewiast, które nie żyją ze sprzedaży swych wdzięków... i na czym opierasz swe kruche posady? Korzystaj ze sposobności i dziel się z bliźnim społecznie jak na mężczyznę przystało.

I Bogacz wystroił żonę Łazarza jak łanię, umieścił ją w najpoczest niejszym miejscu swego haremu i nie pozwolił swym spaleniom lizać ran.

Niestety jeszcze tej wiosny Bogacz dostał się na stronę tytułową „Przeglądu Milicyjnego" i jesz cze tego samego roku Łazarz mówił do swej małżonki:

— A mówiłem ci, nie szukaj łatwego i taniego zadowolenia tam, gdzie krucha jest mamona i czczy szaber. Perlony ci kupił, sam na nogi omal sobolowych onuc nie włożył, na głowie czapkę z karakułów nosił i powiesił się na szelkach w miejscu cuchnącym i niezaopatrzonym nawet w wodę bieżącą. Teraz będzie mnie prosił, abym mu pozwolił umaczać palec w wodzie, bo go pali pragnienie, a ja nie pozwolę mu zamaczać palca w brudzie z własnych nóg... No, bierz się do roboty, zamiataj! A pamiętaj, że płonne są fundamenta samolubnych radości. Ten, co nic nie ma, nie cierpi nigdy z powodu reformy rolnej i upowszechnienia kultury, nic nie może stracić a tylko zyskać. Skoro uprzątniesz, zanieś podanie do Urzędu Mieszkaniowego, bo się do pokoi Bogacza jeszcze inny Bogacz w reprywatyzuje.

I niewiasta odeszła ze łzami w oczach i tego jeszcze roku orze-



czenie Urzędu Mieszkaniowego nabrało mocy urzędowej i tego roku na murach Bogacza zamiast wizytówki: Bogacz, przemysłowiec, przedsiębiorstwa globalne, widniała piękna tabliczka z napisem: Obywatelstwo Walentostwo Łazarzostwo, Oddział Planowania.

KARNAWAŁ SZABROWNIKA



OSTATKI



ZA-PUSTY



KLOCKI

Tomaszewski



Rys. Maja Berezowska

— Kolego Packiewicz, jak się wam ten obraz podoba?
— To takie oklepane!

METODA

Ludzie jakoś — naogół biorąc — medycyny nie doceniają. Na lekarzy przyzwyczaili się psioczyć, a o ich sztuce różne tam takie opinie wygłaszają, że nic nie pomaga, a jeśli pomaga — to niewiele. To lekceważenie medycyny bardzo mi się nie podoba z tego bodaj powodu, iż w tzw. swoim czasie miałem — dzięki właśnie lekarzom — przypadek wyzdrowienia we własnej rodzinie.

Było to przed wojną. Dziadek nasz „po mieczu", b. stary, ale jary, zaczął pewnego dnia udzielać niezbyt á propos odpowiedzi na nasze pytania: stracił biedak słuch. Utrata słuchu, wiadomo, przykre kalectwo. Postanowiliśmy tedy staruszka ratować. Naturalnie — przy pomocy medycyny.

Lekarze — jak to lekarze: chociaż każdy z nich oświetlał dziadkowi uszy reflektorem, przepłukiwał strzykawką i zaglądał do nich wziernikiem — diagnozy stawiali rozmaite. Jeden stwierdził chorobę muszli usznej, drugi powiedział, że to ostre zapalenie błony bębenkowej, inny zaś oświadczał, iż mamy do czynienia z typową ropnicą pochodzenia usznego. Orientowaliśmy się więc po pewnym czasie, co to weryngitis, co otitis, a co pyaemia, ale — trzeba przyznać — dziadkowi to słuchu nie przywróciło. Na diabła szło mozolne przemywanie uszu ciepłą watą lub wstrzykiwanie kokainy z adrenaliną: rozmowy nasze z dziadkiem nadal były przysłowiowo bez sensu.

Byliśmy bardzo zmartwieni, ale nie zagrzebywaliśmy gruszek w popiele, tj. uszu w głuchocie. W poszukiwaniach naszych dostaliśmy od pewnej znajomej odres otiatry, przywracającego słuch przy pomocy zupełnie nowych, rewolucyjnych zgoła sposobów. Oczywiście ściągnęliśmy otiatrę do dziadzi.

Przyszedł i zamiast użyć jak inni reflektora, wziernika tudzież strzykawki, zapytał całkiem nieoczekiwanie, czy dziadzio nie ma zwyczaju wkładać sobie do uszu guzików, pestek od wiśni, koralików, grochu itp.

Kiedy zapewniliśmy go uroczyście, że dziadzio nie ma takiego zwyczaju, uśmiechnął się i powiedział:

— Hm, jeśli tak, to wszystko w porządku. Proszę pacjenta przygotować, że wieczorem pojedziemy na operę.

— Na operę? — zapytaliśmy b. zdziwieni — Przecież dziadzio głuchy jak pień.

Lekarz spojrzał na nas lekceważąco.

— Taka moja metoda — powiedział.

Ano, jak metoda — to trudno. Czołem przed metodą. Ale postanowiliśmy towarzyszyć dziadkowi do opery. Z ciekawości i w ogóle.

W teatrze dowiedzieliśmy się, iż będą grać Wagnera, a Wagner jak wiadomo — to bogata chromatyka, śmiała harmonia tudzież dramat przeniesiony na orkiestrę.

Dziadzio na te wszystkie wartości muzyczne nie reagował. Siedział sobie jak pień w pierwszym rzędzie i tylko rzucał nerwowo oczami. Tak było przynajmniej wówczas, gdy piszczały trąbki altowe i tenorowe. Ale niebawem targnęły teatrem potężne tony najgłębszych tub wentylowych, a mianowicie eufoniów w B i kontrabasowych Helikonów.

Patrzymy, a tu dziadzio zaczyna się niespokojnie poruszać na krześle, aż wreszcie — gdy dramat przeniesiony na orkiestrę osiągnął swój punkt kulminacyjny — złapał doktora za rękę i w ryk:

— Słyszę! Doktorze: słyszę!

A doktór nic. Ani się obejrzy. Tak, widać, metody swojej pewien. Aliści opera się skończyła i dziadzio, pozbywszy się dzięki Wagnerowi przykrej głuchoty, zaczął sobie wesoło seplenić, a doktór w dalszym ciągu nic.

W końcu, gdy go gromadnie obrzuciliśmy głośnymi podziękowaniami za cudowne uzdrowienie dziadzi, popatrzył na nas dziwnie, jak by chciał coś powiedzieć, po czym wyjął notes i napisał:

„Bardzo przepraszam: nic nie słyszę"

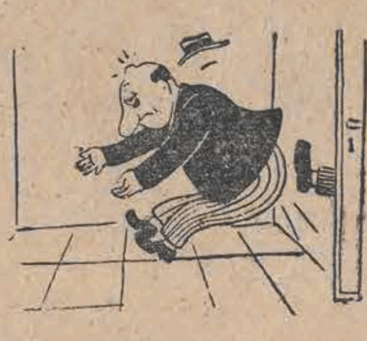
Podnieśliśmy tedy straszny wrzask, ale i to niewiele pomogło. Dziadzio odzyskał słuch, a doktór go stracił. Boć, ostatecznie, niebezpiecznie jest, gdy kurujący używa tego samego silnego środka, co kurowany. E. S.

KĄCIK BRIDGE'OWY

Rys. Alinka



„Na rączce"



„Kibic"



„Nadróbka"



„Walet"

JAN HUSZCZA

Nieporozumienie w Jaśmiłówce

Swego czasu w wojewódzkim „Kurierze Tygodniowym" ukazała się następująca notatka:

„Dlaczego dotąd nie zawiana?"
(od własnego korespodenta)

W Jaśmiłówce, tej pięknej żyznej miejscowości podgórskiej napozór życie toczy się normalnie. Jest gmina, jest rada gminna, są instytucje i stowarzyszenia.

Niestety, to pozory życia. Oto na dworze prawie czerwiec, a Jaśmiłówka dotąd nie zawiana. Co na to wójt, ob. Poratajko, co miejscowe władze, co ludność?

Ostatni czas, żeby z tym skończyć. Należy zmobilizować siły społeczne pod hasłem: wszystko musi być zawiane! Ani ułamka doli niezawianej!!!"

Prawdę mówiąc, trochę nas zdziwił ten miarodajny alarm; mieszkańcy Jaśmiłówki nieraz przywozili na rynek doskonały spirytus gorzelany, sami tem bardziej nie unikali jego konsumcji, o czym mogą świadczyć rejestry zakłócenia spokoju publicznego.

Niemniej, wyjechaliśmy na miejsce celem zbadania sprawy.

— Obywatelu Poratajko! — krzyknęliśmy, nie zdążywszy nawet wysiąść z samochodu — czytaliście „Kurier Tygodniowy"?

— Niestety, czytałem... — odseplenił Poratajko, z trudem usiłując oprzeć się o jakiś pień topoli. Nie był zresztą w tym odosobniony.

— I co przedsięwzieliście dla zlikwidowania tej haniebnej usterki?

— A no, jak panowie widzą, robi się co można... Tylko kobiety, psiamać nie chcą chlać! Straszny rejwach we wsi.

Istotnie, we wsi był rejwach wynikający przeważnie z braku uspołecznienia. Część mężczyzn odrazu stanęła nawet ponad wspólność zadania: chodziła nietylko zawiana, ale wprost urżnięta. Jednak starcy, młodzież i kobiety nie chcieli się podporządkować. Wśród kobiet były nawet próby dywersji niszczono dzieże z zaczynem, wróblom kruszono drożdże.

Rozwinęliśmy przeto działalność, poczynając od siebie i opierając się na grupach zbliżonych do wójta. Pod pretekstem święta lasu urządziliśmy na koszt gminy przyjęcie dla wszystkich mieszkańców.

Co światlejsi — zataczając się — wzywali do zawiania czyli wypełnienia obowiązku obywatelskiego. Pod stołem kończył płomienny apel sekretarz Fiejko:

— Dola nasza musi być zawiana! — I dalej: — Spełnimy polecenie naszych władz... — w tym miejscu, niestety, usnął. Ale czuwali inni...

Wójt Poratajko robił co mógł. Niekiedy jednak rozkładał ręce:

— Za wszystkich, choléra, nie zawieję się.

Rozkładał ręce, w które mu wpadał najczęściej ciołek sołtysów, albo żuraw u studni, bowiem rozmowa toczyła się na podwórku.

Wobec tego postanowiliśmy planować akcję na dłuższy przeciąg czasu. Ułożyliśmy kaledarzyk uświadamiających odczytów, nawołujących widowisk, współpracowaliśmy z miejscową propagandą. Nie poniechaliśmy dla dobra sprawy nawet i podstępu: Kobietom dolewano spirytusu do zupy.

Prawdopodobnie — po upływie pewnego czasu — sytuacja byłaby przez nas całkowicie opanowana, gdyby nie kolejny numer wzmiankowanego „Kuriera Tygodniowego", który pod nagłówkiem „Nie zawiana a zasiana" donosił:

„Do naszej notatki o Jaśmiłówce z numeru 92 wkradł się szereg zniekształcających błędów drukarskich. Tekst brzmi: Oto na dworze prawie czerwiec, a Jaśmiłówka dotąd nie zasiana. Co na to wójt, ob. Poratajko, co miejscowe władze, co ludność??? Ostatni czas, żeby z tym skończyć. Należy zmobilizować siły społeczne pod hasłem, wszystko musi być zasiane! Ani ułamka roli nie zasianej!!!"

Po przeczytaniu było nam niezwykle przykro. Nie chcieliśmy nawet wierzyć. I my i wójt. Żądaliśmy sprostowania w duchu poprzedniej natatki, bądź co bądź, osiągnęliśmy przecież pewne rezultaty, które dawały powód do dumy.

Niestety, chodziło jednak o zasianie żyta, owsa i innych ziarenek, które miały przynieść plon. Zawianie wobec tego ograniczyliśmy do szczupłego ale zdecydowanego grona entuzjastów. Zwłaszcza, że na zasiewy było już zapóźno.

Przy okazji należy zaznaczyć, iż to nie pierwszy wypadek, gdy prasa jest sprawczynią fatalnych nieporozumień.

I tak: w 1928 roku „Echo sochockie", pisząc o niezasianych polach, zamiast „zasiane" wydrukowano „zasr..." Domyślacie się! Błąd coprawda szybko sprostowano, ale interwencja pisma w międzyczasie zdążyła poskutkować i mo żecie sobie wyobrazić co to za powietrze było owej wiosny nad sochockimi polami!

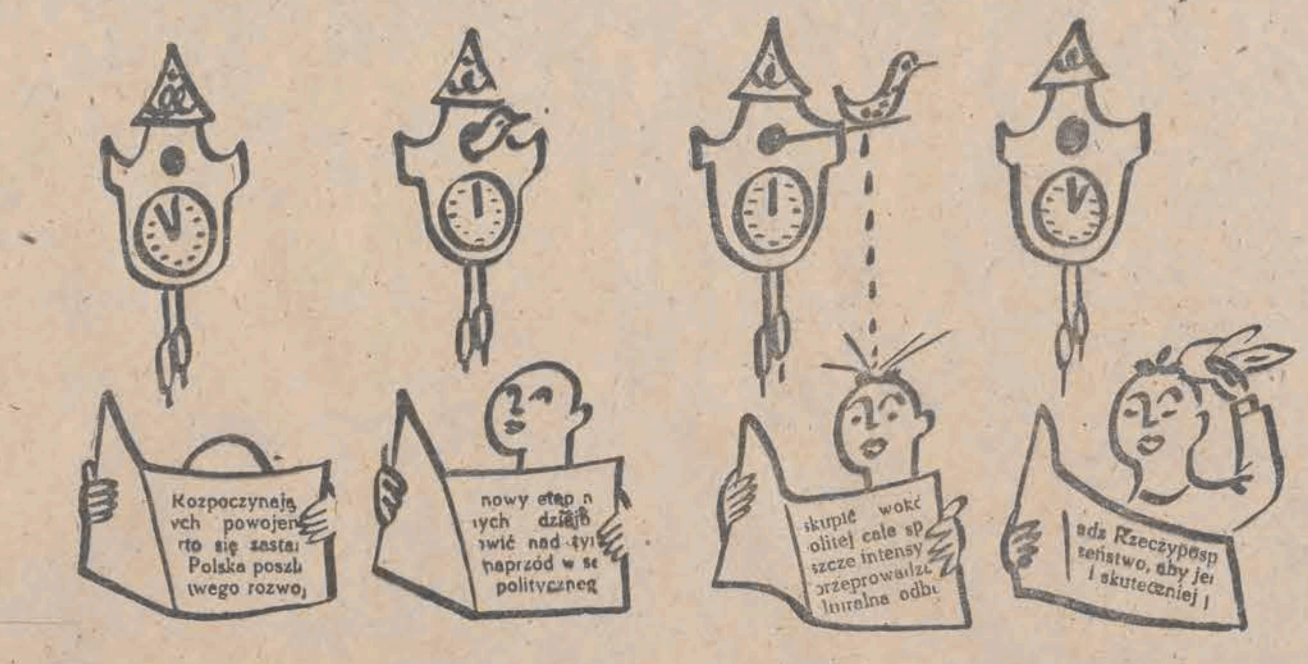
A w roku 1932 „Nowiny Nieborowskie" wydrukowały artykuł na temat: Włos należy do pracowników pocztowych! W związku z tym wszystkie włosy, sierść jako też szczecinę konfiskowano oraz do dawano pracownikom pocztowym.

Nie chcieli brać, ale zmuszono. Oporных nawet karano!

A przecież znowu nafiglowała jedna litera. Zamiast „włos" miało być. Głos należy do pracowników pocztowych.

Poprostu wzywano pracowników pocztowych, by się wypowiedzieli w sprawie malwersacji, które wówczas miały miejsce w nieborowskim urzędzie.

DOPISEK: Puryści i znawcy języka po przeczytaniu niniejszego protestują. We dług nich w danym wypadku mówi się: obsiane pola, obsiać pola, a nie — zasiane pola, zasiać pola. Możliwe. Lecz te błędy stylistyczne zostaną także tajemnicą woj. „Kuriera Tygodniowego". Jak i owe nieszczęsne błędy korektorskie. Mnie jako autorowi, chodziło bowiem jeno o autentyczność, nie zaś o poprawność językową. Co sobie i zastrzegam!



Rys. Regina Kańska

A, to już pierwsza!

Przywiązanie do tradycji

Jak wiadomo, naród nasz cechuje silne przywiązanie do tradycji. Ot, choćby taka pożyteczna i godna wszelkiego poparcia akcja pomocy zimowej: zainicjowano ją broń Boże nie we wrześniu, nie w październiku, nie w listopadzie, nawet nie w grudnu, a dopiero aż w styczniu.

Ze wzruszeniem przypominam sobie zdanie z własnego felietonu o Pomocy Zimowej, napisane przed wojną:

„W gorący dzień lipca rozpoczęła w naszym miasteczku swoją działalność zeszłoroczna Pomoc Zimowa..."

Histeryczna historyczność

Nigdy jeszcze nie przeżywaliśmy tak ciekawych chwil jak w ostatnim okresie. Teraz właściwie wszystko, najdrobniejsze nawet przejawy życia publicznego podciąga się pod mianownik historyczności.

Nawet w Skromnej Miłosnej naliczyłem już 118 wydarzeń dziejowo — historycznych.

Prawie co dzień miejscowy organ „Odbudowa Demokratyczna" przynosi wiadomości pod takimi mniej więcej tytułami:

1) Historyczne oświadczenie wójta Kalasińskiego w sprawie lemoniady.

2. Wiekopomne spotkanie Dłubajły z Kopotkowiczem.

3. Dziejowa inauguracja koła samokształceniowego „Jutrzenka".

4. Doniosła wypowiedź właściciela baru „Wolna Ojczyzna" na temat pierwszej odrodzonej zimy...

Ostatnio w Skromnej Miłosnej zanotowano w ciągu jednego tylko tygodnia 97 wypadków opuchnięcia rąk od klaskania, w tym 38 wypadków śmiertelnych, gdyż połączonych z zatruciem frazesami.

Wynalazca maści od opuchnięć rąk mógłby zrobić w Polsce kokosy. Co do mnie, dysponuję nazwą maści: „Klaskopol"...

(Z mającego się ukazać nakładem Spółdzielni Wyd. „Wiedza" zbioru humoresek, felietonów i satyr Jana Huszczy p. t. „Impertynencje").

FRASZKI

JAN CZARNY

SPÓDNICA

Spódnica bywa — (tą uwaga celna)
samodziałowa, lecz nie... samodzielna.

MAŁŻEŃSTWO DOSKONAŁE

Nic dziwnego że jedzą chleb z jednego pieca:
on zarabia na boku, ona zaś na plecach.

BOHATER

Biegałby po śniegu nago
lecz ma ischias i lumbago...

SPOSÓB

Kiedy, pełen wódy, chcesz zachować ciszę,
stań na jednej nodze cichutko w kredensie:
udawaj kieliszek
albo coś w tym sensie...

* * *

Pić albo nie pić
Rozpętała się dyskusja na rodzimych łamach:
Czy alkohol pić litrami, czy dawkować w
gramach?
Ktoś trafiając w sprawy sedno, zdecydował
mądrze:
Problem trudny, bez pół litra nikt go nie rozwiąże...

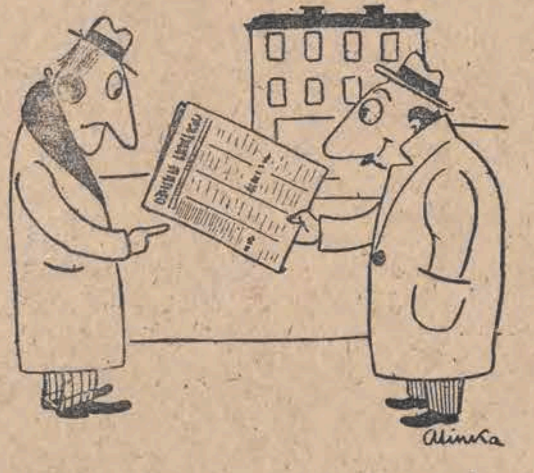
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

NAGROBEK PIJAKA

Zalewał wciąż robaka pijak w szynku tanim,
w grobie teraz robaki mszczą się za to na nim.

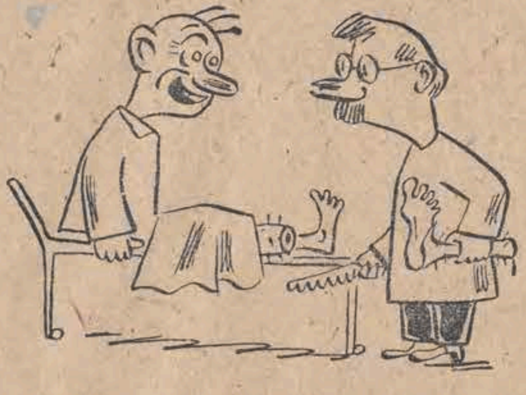
DWA DARY

Dolo zakochanego, dolo ty macoszal
On dał jej koszyk kwiatów, a ona mu kosza.



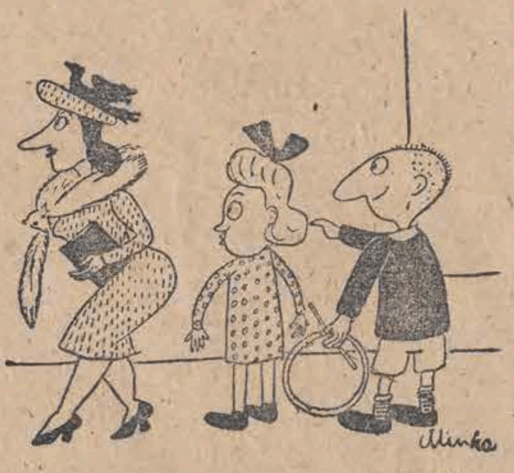
Rys. Alinka

— Dlaczego ta gazeta taka sztywna?
— Tyle w niej wody, że zmarzła:



Rys. Tadeusz Ulatowski

— Czego się pan śmieję?
— Bo oszukałem pana doktora: to nie ja miałem być operowany.



Rys. Alinka

— Ty, Stasiu, ta twoja ciocia to ma kruka na głowie, a lisa na szyi!
— To jeszcze nic: Tatuś mówi, że ona ma oprócz tego węża w kieszeni...



Rys. Zbigniew Kiulin

— Panie kasjer, nie będę dłużej tego tolerował: zawsze się kasa nie zgadza!



Rys. Zbigniew Kiulin

— Zauważyłeś, Tolek, jaki dzisiaj mróz? Ciebie też tak szczypie?



— Jeszcze śmiesz do mnie podchodzić, nędzniku?
— Jakto? Przecież sama powiedziałaś: „idź do cholery"!



— Czy oskarżony przyznaje się do wzięcia udziału w defraudacji?
— Niestety! Moich udziałów nie zdążyli mi wypłacić!



Rys. Stanisław Cielach

— Panie baronie, zapomniał pan kapelusza i laski!

MIĘDZY NAMI

„Celinka" (Wejherowo) Dziękujemy za uznanie, niestety, jeśli chodzi o nadesłany rysunek, nie możemy tego uznania odwzajemnić. Nadzieja, że „redakcja takowy wykorzysta" — odpada.

Giedrojć Stanisława (Szkoła Powszechna Sosnowo, gmina Sztabin, pow. Augustów, woj. Białystok) Zamówienie załatwione. Po opłaceniu prenumeraty „Rózgi będą wysyłane na w/w adres.

Ala D. (Warszawa) Jesteśmy sceptykami, dlatego obietnicę: „na drugi raz postaram się lepiej" przyjęliśmy z uśmiechem niedowierzania.

„Uran" (Bielsko) Złoże, które Pan dostarczył loco Redakcja, wydarło nam w pierwszej chwili radosny okrzyk: u-Rany Boskie! Po zbadaniu jednak i szczegółowej analizie okazało się, że niema się z czego cieszyć: z całego materiału do druku najwyżej — jedna fraszka.

„Kominek" (Warszawa) Część materiału wykorzystaliśmy. Brakujące egzemplarze „Rózeg" może Pan nabyć w administracji naszego pisma.

„Jacques" (Wałbrzych) Pisze Pan: „składam w Pańskie Redaktorskie ręce moja powieść w kilku słowach z okrzykiem — c'est la vie". Ce n'est pas la vie drogi Panie Jasques, to tylko — grafomania.

Helena Rogozińska (Łódź, Sulka 5) Z niektórych pomysłów prawdopodobnie skorzystamy. Prosimy o większy wybór.

„Api" (Częstochowa) „Rozstania i „Fraszki" — niedobre.



Rys. Zbigniew Kiulin

— Jutro napewno oddam ci te pieniądze!
— Mówisz to „z ręką na sercu"?
— Nie, „z nożem na gardle"!

Przedruk bez podania źródła wzbroniony.
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej.
„Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź, Piotrkowska 98 — telefon 212-57.
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański i Henryk Tomaszewski. D — 013124 Wydaje: „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42.